

# Mordowanie wpisane w system

Z Olegiem Alkajewem, autorem książki *Ekipa do zabijania*, rozmawia Katarzyna Kwiatkowska

**KATARZYNA KWIATKOWSKA: W książce poruszył Pan dwa pozornie niezwiązane ze sobą tematy: zaginięcie białoruskich polityków w 1999 roku i system penitencjarny na Białorusi. Dlaczego?**

OLEG AŁKAJEW: O napisanie książki poprosił mnie dziennikarz, również jak ja emigrant, Paweł Szeremiet. Żeby ułatwić mi pracę, przysłał swoje pytania. Było ich około stu, potem z pomocą wydawcy dokonaliśmy redakcji tekstu.

Każda książka jest projektem komercyjnym. W Rosji mało kogo interesują zabici na Białorusi politycy, tam morderstwa polityczne nie szokują. A nasz system penitencjarny był jak dotąd owiany tajemnicą. To dla czytelnika ciekawsze, a czytając o więzieniach i tak natknie się na temat zabójstw politycznych.

**Książkę wydano w 2006 roku. Od tego czasu wiele się na Białorusi zmieniło. Ludzie, których oskarża Pan o udział w porywaniu i zabijaniu opozycyjnych polityków, zostali zdymisjonowani.**

Fakt, że stracili swoje posady, świadczy o prawdziwości moich słów. Gdyby oskarżenia były niesłuszne, ludzie ci pełniliby jeszcze wyższe funkcje. Łukaszenka, pod międzynarodowym naciskiem, odsunął ich od siebie. Boi się jednak

oddać ich pod sąd, bo przez dziesięć lat ukrywał przestępstwa swoich najbliższych współpracowników. Ciężko byłoby mu wyjaśnić, dlaczego nagle się obudził. Fakt, że na tym poprzestał, świadczy, że boi się o własną skórę.

**Boi się, bo był mocodawcą?**

Tego nie mogę stwierdzić, lecz ich osłanianie już jest przestępstwem.

Łukaszenka, uwalniając Dmitrija Pawliczenkę (byłego szefa oddziałów specjalnych – przyp. red.), pokazał, że jest winny. Może to był błąd, może tchórzostwo. Sytuacja była napięta: w areszcie Pawliczenko powiedział, że rozkazy wydawał mu ówczesny minister spraw wewnętrznych Jury Siwakou. Siwakou, postawiony pod ścianą, wydałby Wiktara Szejmana, szefa Rady Bezpieczeństwa, a ten wskazałby na prezydenta. Łukaszenka może i wybroniłby się w sądzie, ale śledztwo zepsułoby mu reputację, a zbliżały się przecież wybory prezydenckie.

Bezpośrednich dowodów winy prezydenta nie ma, jednak dowody pośrednie, a także motyw wskazują na niego jako na zleceniodawcę zabójstw.

**Co musi się stać, żeby z powodzeniem wspinający się po szczeblach kariery urzędnik, który od wielu lat służy systemowi, nagle się zbuntował?**

Po pierwsze, nie jestem Białorusinem, nie mam białoruskiej mentalności. Mam rosyjsko-azjatyckie korzenie, dlatego myślę i zachowuję się trochę inaczej niż większość mieszkańców Białorusi.

Poza tym jestem z wykształcenia prawnikiem. Wielokrotnie zadawano mi pytanie, dlaczego zrobiło mi się żal zabitych polityków, skoro uczestniczyłem w wykonaniu wyroków śmierci na tyłu ludziach. Tak, robiłem to. Jeśli tego wymagałyby moja służba, stracilibyśmy jeszcze dwa razy tyle osób, nie uważam się jednak za winnego, bo było to zgodne z prawem. Kiedy jednak na moich oczach tworzyło się bezprawie, nie mogłem nie zareagować. Nie poszedłem do opozycji, nie rozsiewałem plotek. Jako starszy oficer zwróciłem się do swojego zwierzchnika, ale generał wystraszył się i kazał milczeć. Co powinien zrobić pułkownik, kiedy generałowie się boją? Jeśli napisałbym raport na ten temat, przechwyciłby go Szejman i stałbym się następną ofiarą. Nikt by się specjalnie nie dziwił – byłem naczelnikiem więzienia i sto tysięcy bandytów wiedziało, jak wyglądam.

Dlatego spotkałem się z Uładzimirem Naumouem, szefem osobistej ochrony prezydenta. Naumou był moim znajomym. Powiedziałem, że podejrzewam Szejmana, Siwakoua i Pawliczenkę, że za plecami prezydenta – wtedy do głowy mi nie przyszło, że prezydent może mieć związek z tą sprawą – popełnili przestępstwo. Naumou obiecał, że się tym zajmie i gdy po sześciu miesiącach został ministrem spraw wewnętrznych, razem z szefem KGB i prokuratorem generalnym

wszczęli śledztwo, które doprowadziło do aresztowania Pawliczenki. Potem jednak wszyscy stchórzyli. Jak powiedział Poncjusz Piłat w *Mistrzu i Małgorzacie*, tchórzostwo jest najgorszą z ułomności. Nie twierdzę, że jestem wyjątkowo odważny, kiedy jednak trzeba wybrać między zasadami moralnymi a kłamstwem, nie mam wątpliwości. Choć zapłaciłem za to wysoką cenę.

**W końcu jednak zwrócił się Pan do opozycji. 22 sierpnia 2001 roku „Bieloruskaja Diełowaja Gazieta” wydrukowała Pański raport, który rok wcześniej napisał Pan dla Naumoua.**

Wiedziałem, czym to się może dla mnie skończyć, wiedziałem, że jeśli potwierdzę autentyczność dokumentów, znajdę się za kratkami albo jeszcze gorzej. Za dobrze znałem ten system, żeby mieć złudzenia. Dlatego podjąłem decyzję o wyjeździe. Wyszedłem z domu bez rzeczy. Przedostałem się do Smoleńska, potem pojechałem do Moskwy, gdzie pomógł mi przyjaciel. Mój paszport leżał wówczas w niemieckiej ambasadzie – od dawna planowałem wizytę u krewnego. Gdy dostarczono mi paszport, udałem się do Niemiec.

Obserwowałem reakcje na publikację. Naumou kłamał, mówiąc, że nie czytał mojego raportu. Na dokumencie widnieje jego podpis, chciał rozwiązać sprawę, ale stchórzył. Wstyd, gdy generałowie kłamią.

**W rzeczach Pawliczenki znaleziono nagrania wideo, na których między**

### **innymi miał być straszliwie pokaleczony Zacharenka. Poinformował Pana o tym znajomy wicedyrektor kołchozu. Skąd wziął się w tej historii jeszcze kołchoźnik?**

O aresztowaniu Pawliczenki wiedziało niewielu ludzi: minister spraw wewnętrznych, prokurator generalny, ja i ci, co brali bezpośredni udział w pojmaniu.

Dlatego zdziwiłem się, kiedy znajomy wicedyrektor kołchozu spytał, czy to prawda, że w moim więzieniu siedzi Pawliczenko. Powiedział, że w prokuraturze całą noc filmy oglądali, a na nich Zacharenka z odrąbanymi rękami. Gdyby powiedział to po tygodniu, może bym nie uwierzył, bo sprawa obrosła plotkami. Ale Pawliczenkę aresztowano o godzinie 21.00, a znajomy zjawił się u mnie następnego dnia, o 10.00 rano. Musiał dowiedzieć się z pierwszej ręki, a był kolegą prokuratora generalnego. Potem informację potwierdzili także nasi ludzie, którzy widzieli film.

### **A Pan nie chciał zobaczyć nagrań Pawliczenki?**

Nie mogłem, to wykraczało poza moje kompetencje. Musiałbym oficjalnie zwrócić się z prośbą do prokuratury. Zresztą film leżał u nich tylko dobę lub dwie. Potem go zabrali. Nowy prokurator Szejman zacierał ślady. Wiem jednak, że są kopie. Znam ludzi, którym proponowano ich zakup.

### **To dlaczego ich nie kupili?**

Może nie mieli pieniędzy? Teraz ludzie, którzy mają dostęp do kopii, zaszyli się

ze strachu. Po publikacji łatwo będzie dojść do źródła przecieku. Myślę jednak, że przyjdzie czas i to nagranie ujrzy światło dzienne. Choć nie będzie to dowód sądowy, na pewno podziała na społeczeństwo. Sam byłem poruszony okrucieństwem sprawców. Zabójstwo jestem w stanie zrozumieć, ale tortury?

### **Jedna sprawa nie daje mi spokoju: po co Pawliczenko uczestniczył w wykonywaniu kary śmierci i po co właściwie ludzie Siwakoua zwracali się do Pana z prośbą o wypożyczenie więziennego pistoletu służącego do wykonywania wyroków śmierci? Tym samym przecież zwracali na siebie uwagę.**

Dość dobrze znam Siwakoua. Wiem, że jest skłonny do teatralnych gestów i patosu. Swoje postępowanie mógł tłumaczyć następująco: „My nie mordujemy, lecz wykonujemy wyrok z pistoletu, z którego zabijano przestępców”. Żeby jeszcze bardziej poniżyć ofiarę. Innego wytłumaczenia nie znajduję. Człowieka można zabić choćby pałką.

Siwakou, żeby uprościć całą procedurę pozbywania się niewygodnych ludzi, snuł plany zjednoczenia oddziału Pawliczenki z moim. Mielismy opracowany cały mechanizm utylizacji trupów i działaliśmy legalnie. Nikt nie zadawałby nam żadnych pytań. Tymczasem ludzie Pawliczenki działali jak bandyci. Pierwsze zabójstwa załatwiali zbyt prymitywnie, zostawiali ślady, więc w przyszłości mieli zabijać, a my po nich sprzątać. To było teoretycznie możliwe.

Dlatego 20 maja 1999 roku, trzy tygodnie po zaginięciu Zacharenki, Siwakou zaproponował mi, żeby palić ciała skazanych w krematoriach. Nie miałem pojęcia, dlaczego chce, abyśmy przeprowadzili taką reformę. Teraz wiem, że byłby to doskonały sposób na zatarcie śladów. Myślę, że ci ludzie nie mieli zamiaru się zatrzymać. Sądzę, że zabijanie zaczęło im się podobać.

### **To dlaczego jednak się zatrzymali?**

Kiedy usunęli Hanczara, nie było już nikogo, kto mógłby zagrozić Łukaszence. Po wyborach w 2001 roku opozycję ogarnął marazm. Nie było więc kogo zabijać.

**Z tego, co Pan mówi, wynika, że to Łukaszenka stoi za zabójstwami. A może to jednak była inicjatywa Siwakou? Wspomina Pan w książce o jego ambicjach, za co zresztą został przez prezydenta zdymisjonowany.**

To jedna z hipotez, której do dziś nie wykluczam. Siwakou i Szejman mogli prowadzić swoją grę. Łatwość, z jaką dyrektor kołchozu stanął na czele państwa, stała się przedmiotem zawiści. Wydawało się to takie proste: wystarczy być zdecydowanym, mieć swoją drużynę. Jeśli jakiś tam kołchoźnik może być głową państwa, to generał tym bardziej. Zbliżające się wybory wielu nie dawały spokoju. Zaginięcia znanych polityków mogły być planowane jako dyskredytacja Łukaszenki, bo on miał oczywisty motyw.

Proszę sobie wyobrazić: krążą plotki, że za zaginięciami stoi Łukaszenka. Ten zapewnia, że jego konkurenci żyją

za granicą. I nagle w wyniku anonimowego telefonu znalezione zostaje ciało Hanczara albo Zacharenki. Nikt nie będzie przecież szukał morderców. Ciało by zabrano i zaniesiono wprost pod pałac prezydencki. I co prezydent wtedy powie? A jeśli rzeczywiście nie wiedział? Dodajmy do tego kampanię oczerniającą. Starliby go na proch. Trup to bardzo niebezpieczne zjawisko.

Siwakou starał się zwiększać swoją popularność. Miał ostrzejszy język od Łukaszenki. Organizował spotkania, które nazywał „sprawozdaniami dla społeczeństwa”. Uczestniczyli w nich miejscowi urzędnicy. Była to autoreklama i agitacja. Musiał mieć w tym jakiś cel. Nie można więc wykluczyć, że zabójstwa Zacharenki, Hanczara i Anatola Krasouskiego (białoruskiego biznesmena – przyp. red.) zostały zaplanowane z myślą o dyskredytacji Łukaszenki. To jednak tylko jedna z hipotez.

**W czasie tych dziesięciu lat musiał Pan wielokrotnie zadawać sobie pytanie, dlaczego oni zginęli.**

Tak, myślałem o tym. Na początku wydawało mi się, że to była samowola wykonawców. Dostali rozkaz „neutralizacji” oponentów Łukaszenki i po prostu przekroczyli granice. Pokaleczyli ofiary tak, że nie można było ich pokazać ludziom. Kiedy jednak Łukaszenka uwolnił głównego oskarżonego, udowodnił tym samym, że to nie mogła być pomyłka.

Potwierdza to także proces Walerego Ignatowicza z jednostki antyterrorystycznej Ałmaz, oskarżonego o zabójstwo dziennikarza Dmitrija Zawadzkiego.

Ignatowicza skazano za porwanie, nie za morderstwo. Gdyby bowiem odkopano ciało dziennikarza, białoruskie społeczeństwo domagałoby się rozstrzelania winnego. A od skazania do egzekucji mija zwykle pół roku. W tym czasie mógłby zacząć mówić o pozostałych zabójstwach. A to doprowadziłoby do Pawliczenki, Siwakoua i jeszcze wyżej.

### **W książce stwierdził Pan, że zabójstwo Zawadzkiego różniło się od pozostałych. Dlaczego?**

Łukaszenka powiedział publicznie, że morderca zostanie złapany. Zawadzki nie był jego politycznym konkurentem. Tyle że ludzie, którzy zabili dziennikarza, to jedna i ta sama szajka. W kodeksie karnym jest pojęcie „ekscesy wykonawców”. Zabójcy wymknęli się spod kontroli i zaczęli działać na własną rękę. Ignatowicz na przykład mordował dla pieniędzy. Mówiło się, że jest niespełna rozumu i może zabić za byle drobniąg.

Wiem, że był gotów wskazać miejsce, gdzie zakopano Zawadzkiego. Słyszałem to od wysoko postawionych urzędników. A potem zamilkł. W sądzie niczego nie powiedział. O ile wiem, przedstawiono mu propozycję: życie w zamian za milczenie na temat innych zabójstw.

### **Śmierć Zawadzkiego to nie była osobista zemsta Łukaszenki?**

Nie sądzę. Wydaje mi się, że na początku Łukaszenka rzeczywiście chciał odnaleźć winnego. Dlatego tak szybko arestowali Ignatowicza. Kiedy jednak okazało się, że jest on członkiem bandy

Pawliczenki, sprawę postanowiono wyciszyć. W czasie śledztwa Ignatowicza oskarżono o dokonanie dziesięciu zabójstw. W sądzie przedstawiono dowody jedynie dwóch. Bo jak wyjaśnić społeczeństwu, że za dziesięć zabójstw nie dostał kary śmierci?

Łukaszenka chwali się, że zabójca Zawadzkiego siedzi. Tylko dlaczego nie odnaleziono ciała ofiary? Czy to taki problem wyciągnąć informację? Jeśli sprawca milczy, winna jest władza.

### **Druga rzecz, która nie daje mi spokoju: dlaczego Pan, człowiek tak pryncypialnie trzymający się litery prawa, wypożyczył więzienny pistolet?**

Otrzymałem nakaz, żeby wydać broń do ćwiczeń. Przyszedł po nią porucznik odpowiedzialny w ministerstwie za nadzór broni. Przyniósł pismo. Myślałem, że chcą sprawdzić jej stan techniczny.

Po drugie, w MSW trwała właśnie rejestracja wszystkich rodzajów broni, nawet tej prywatnej.

Po trzecie, pomyślałem, że może chcą sobie postrzelać na łonie natury. My również strzelaliśmy, co prawda z innej broni. Mężczyznom to się zdarza. Nie miałem żadnych podejrzeń, nie zastanawiałem się nad tym długo. Dla mnie broń to jak dla dziennikarza długopis czy notes.

**Nie był to jednak jakiś tam pistolet, ale broń, z której wykonywano wyroki śmierci. Wojskowi mogli wziąć ją na piknik, podczas gdy rodzina skazanego nie ma prawa znać nawet terminu egzekucji. Nigdy nie zobaczy też**

**ciała. Białoruś jest ostatnim krajem europejskim, w którym wciąż wykonuje się karę śmierci. Dlaczego odbywa się to w takiej atmosferze?**

Wszystkie zasady dotyczące egzekucji reguluje kodeks karny Republiki Białoruś, który zatwierdził parlament. Nie ja redagowałem przepisy, lecz deputowani Rady Najwyższej. Osobiście nie miałbym nic przeciwko temu, żeby rodziny zabierały ciała, byłoby to nawet ułatwienie. Tyle że zmiana prawa leży w kompetencji parlamentu, a ponieważ na Białorusi zależy on w pełni od prezydenta, wszystko w jego rękach.

**W książce wspomina Pan o rodzicach skazanego, którym skłamał Pan, że ich syn nie zostanie zabity, lecz wywieziony w nieznanne miejsce. Czy to było w porządku?**

Tak. Ludzie chcą wierzyć, że nie stanie się najgorsze. Krążyły legendy, że skazani nie są zabijani, lecz wywożeni daleko, do kopalni. Nigdy nie potwierdzaliśmy tych opowieści, ale i nie zaprzeczaliśmy im. W instrukcji zapisano: „zniknął wskutek wyroku”, po rosyjsku: „*użył po przigoworu*”, i tylko to mogliśmy powiedzieć. A gdzie „zniknął”? Nie wiadomo. A ludzie fantazjują: może do Magadanu, może na Kołymę.

Za Stalina było jeszcze prościej. Pisano: „dziesięć lat bez prawa do korespondencji”.

I nikt nie wiedział, że za tym kryje się kara śmierci. Cały nasz kraj wychowano na oszustwie.

**Rozumiem, że oszukiwano w czasach stalinowskiego terroru. Ale formę „zniknął wskutek wyroku” przyjęto już w niepodległej Białorusi, i to jeszcze przed Łukaszenką.**

Tak, ten zapis to dziedzictwo po ZSRR.

Jeśli miałbym powiedzieć czyjejs matce, że wczoraj rozstrzelałem jej syna i mam jeszcze krew na koszuli, nie sądzę, by poczuła się od tego lepiej.

Białorusini już wiedzą, jak wygląda rzeczywistość, a ruchu przeciwko karze śmierci nikt nie organizuje. Pamiętajmy, że rozstrzeliwuje się przestępców. A obok przestępcy jest jeszcze ofiara. Ona też miała rodziców, bliskich.

Pamiętam historię dwóch młodych morderców, którym kolega pochwalił się, że rodzice sprzedali mieszkanie w Mińsku, a pieniądze trzymają w sejfie na dachu. Włamali się, zabili chłopaka i jego babcię, torturowali ich przed śmiercią. W sądzie spotkały się dwie strony: jedna matka domagała się kary śmierci, a druga stała z plakatem: „Prezydencie, ułaskaw mojego syna”. Mordercę rozstrzelano, współsprawca się uratował, bo był niepełnoletni. I jak ich osądzić? ☹

Oleg Ałkajew jest białoruskim emigrantem politycznym. Był naczelnikiem Aresztu Śledczego nr 1 w Mińsku, kierował grupą specjalną wykonującą wyroki śmierci. Jego książka, *Ekipa do zabijania*, właśnie ukazała się w Polsce.